

Karolina Kierłańczyk, Hieronim Derdowski

Nieznane publikacje Hieronima Derdowskiego z łamów toruńskiego "Przyjaciela" : 1880-1881

Acta Cassubiana 17, 236-252

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Karolina Kierłańczyk
Gdańsk – Chicago

Nieznane publikacje Hieronima Derdowskiego z łamów toruńskiego „Przyjaciela” (1880–1881)

Prezentowanych poniżej pięć artykułów z cyklu *Pogadanki w kuźni* zostało wydrukowanych w toruńskim „Przyjacielu” w 1880 roku w numerach 4. i 14-16. oraz w numerze 19. z 1881 roku. Zawierają one informacje biograficzne o Hieronimie Derdowskim i jego osobiste refleksje. Opisują też obowiązki poety w redakcji „Przyjaciela”, przybliżają kaszubskie zwyczaje zachowywane w czasie Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, jak również opisują ówczesne realia życiowe i stosunki międzyludzkie.

O autorstwie tych prac świadczą słowa samego Derdowskiego zamieszczone w „Wiarusie”, wydawanym przez poetę w Winonie, w Stanach Zjednoczonych:

W szczęśliwym starym kraju, (...) w kochanej Polsce, poprawiam się, także pisywałem przez czas dłuższy pogadanki, które podobno dosyć interesowały czytelników (sic!). Umieszczał je toruński *Przyjaciel* pod tytułem „Pogadanki w kuźni”, a na dole podpisany był *C z e l a d n i k*¹.

Skoro autorem *Pogadank w kuźni* był Derdowski, musiał on być też autorem zamieszczonych poniżej dwóch innych publikacji z „Przyjaciela”, mianowicie: *Majster Ignacy Danielewski* i *Co słyhać?*, zamieszczonych w numerach 14-15. z 1881 roku, bowiem piszący identyfikuje się w pierwszej jako Czeladnik, a w drugiej jako autor *Pogadank w kuźni*. Pierwszy z tekstów dotyczy półrocznego uwięzienia Ignacego Danielewskiego „za dwa artykuły ogłoszone w *G a z e c i e T o r u ń s k i e j*”² oraz tymczasowego zastąpienia go na stanowisku redaktora „Przyjaciela” przez Hieronima Derdowskiego. Drugi z artykułów traktuje o ów-

¹ Majster od Wiarusa, *Z blizka i z daleka*, „Wiarus”, 1886, nr 12, s. 1. „Majster od Wiarusa” i „Majster” to pseudonimy Hieronima Derdowskiego.

² [H. Derdowski], *Majster Ignacy Danielewski*, „Przyjaciel”, 1881, nr 14, s. 1.

czesnych wydarzeniach politycznych i zawiera silne akcenty antyniemieckie, antyrosyjskie i antysemickie.

Wszystkie artykuły zachowują oryginalną pisownię H. Derdowskiego, w tym błędy ortograficzne, interpunkcyjne, stylistyczne i drukarskie.

Czeladnik, Pogadanki w kuźni, „Przyjaciół”, 1880, nr 4, s. 3

Mysleliście może, kochane wiarusy, że mnie Majster już odprawił, dla tego, że tak długo o sobie nic słyseć nie dałem. Chwała Bogu tak nie jest i jak dotąd, tak dalej kuję sobie w kuźni *P r z y j a c i e l a*, tylko że mnie dotąd pan Czorliński, który czasem sam całe dolne piętro naszego pisma zabiera, nie pozwolił wysuwać się naprzód. A nadto też Majster bardzo często wyselał mnie z rachunkami po domach (boć ucznia nie mamy), więc nie miałem czasu zaglądać do kuźni. Rozmaici ludzie zostali winni za robotę, a na Nowy Rok był termin zapłaty, ale z trudna który sam przyszedł zapłacić. Taka bieranina z rachunkami, to niech ją lichy weźmie, bo żeby ci to każdy zaraz dał pieniądze, no to jeszcze! — Ale łaż najprzód pół dnia, zanim kogo w domu znajdziesz, lubo zwykle tylko kobiety widząc człowieka z kwitem, kryją chłopów do komórki, a same wychodzą naprzeciw, powiadając niby to z ubolewaniem, że męża nie ma w domu — a potem choć natrafisz gospodarza u siebie, to będzie się drapał po głowie narzekając, że liche czasy, że pieniędzy nie ma, no i nie da — a czasem, mianowicie, jeżeli wejdiesz w dom razem z egzekutorem, bądź rad, że cię nie wezmą za leb i nie wyrzucą za drzwi. A tu Majstrowa się pyta: — „No, masz pieniądze?” — „Nie mam, proszę pani *M a j s t r o w e j*, ludzie sami nic nie mają, każą czekać.” — „A bo też ty nie umiesz się sprawić, jak się należy, trzeba było nie ustępywać z izby, dopóki nie zapłacą. Ale ba! Kiedy to takie...” Tu pani Majstrowa wskazujący palec prawej ręki kładzie na środku czoła, głowę zwiesza cokolwiek na dół i wzdrygnie lewem ramieniem, bo to już taki zwyczaj u niej, jeżeli komu okazuje swe nieukontentowanie. Wiemci ja dobrze, co to ma znaczyć. Niby to tyle, jak: *W ciemni bity szelma, głupi jak Maćkowe cielę.* — Ale cóż tu robić? — Trzeba pokornie pocałować panią Majstrową w rękę i basta, boć to może i prawda, co sobie o czleku myśli.

Raz tylko nie żalowałem, że wysłano mnie z rachunkiem do jednego z dłużników naszej kuźni, bo trafiłem właśnie na kołędę. Gdy wchodzę do drzwi, śpiewa sobie pan organista swym „baranim głosem” znane dwa wiersze kołedy: „Fuńda, fuńda, fuńda, fuńda, fuńda lęsy buńda.” — Zacząłem więc stanąwszy za ministrantami

przywtarzać, ale gdy raz przypadkowo spojrzalem na łysą banię pana bakalarza, która świeciła jak księżyc w nocy, ledwie nie wybuchł śmiechem, lubo serce w tej chwili było nastrojone do nabożeństwa. Ksiądz pleban po zwykłym pobłogosławieniu usiadł w środku izby na krzesle, a potem wszyscy z kolei zbliżali się do niego, aby na klęczkach ucałować z rąk jego wizerunek Zbawiciela. Najprzód przystąpili gospodarz domu i pani gospodyni, następnie dzieci i słudzy; na ostatku przystąpiłem i ja. Kapłan podarował nam wszystkim po ślicznym obrazku, a mnie, dowiedziawszy się, że mi na imię... — przepraszam, ale nie mogę tu podać swego imienia, bo by się rozniosło po świecie, kto to czasem w ciemność... — więc podarował mnie ksiądz pleban wizerunek mego patrona. Potem ministranci zaczęli dzwonić dyń! dyń! pani gospodyni i pannom koło uszu. Te zatykają sobie uszy obiema rękoma, prosząc, by dali pokój, bo je ogłusza, ale chłopaki precz dyń! dyń! brzęczą z całej siły... i nie oprzestają, dopóki każda nie sięgnie w kieszeń i nie włoży po groszu do dzwonka. Pan gospodarz był najtwardziej uszu, dzwonił mu tam coś kwadrans, ale jednak, widząc, że nie przelewki, otworzył sakiewkę i wpuścił do dzwonka jednemu i drugiemu pożądaną monetę. — Wpadło mi na myśl, żeby skorzystać z chwili i podać panu gospodarzowi papier, który trzymałem dla niego w garści. Zrobiłem też tak i w chwili, gdy ten zawięzuje woreczek, prezentuję mu rachunek pana Majstra: za stalenie kós tyle a tyle, za widły do wyrzucania mierzwy z polityki pewnego państwa tyle, za żelazne obuchy do miękczenia zatwardziały serc tyle, to czyni razem ot tę i tę sumę. — Biedak rzucił okiem na papier, zarumienił się jak grzebień koguta, spojrzął to raz na mnie, to na księdza plebana, aż wreszcie z trzęsącą ręką dobył z worka kilka złotych, które miałem od niego ściągnąć i wcisnął mi je w dłoń. Nie byłby mnie może pan gospodarz tak łatwo zaspokoił, ale wstyd go było odprawić mnie tak z niczem w oczach pana organisty i księdza plebana. Mimo, że już odebrałem zapłatę, jednak pozostałem w izbie, dopóki ksiądz z niej nie wyszedł. Ledwie się to stało, a tu hurmem rzucają się na wyścigi trzy córki pana gospodarza, z których najmłodsza miała coś 24 lata, ku krzesłu, na którym co dopiero spoczywał ksiądz pleban. Szczęście posłużyło najstarszej, że najpierwsza przybyła do krzesła i zajęła je, więc ta może być pewna, że tego roku za mąż wyjdzie. Skoro wstała, ja usiadłem po niej i posiedzialem sobie chwilę na krzesle, choć mnie tam gwałtem z niego spychały dziewczęta. — Być więc może, że i mnie w tym roku Pan Bóg obdarzy jaką podporą.

Potem w dwójnasób zadowolony biegnę do pani Majstrowej, która mnie tą razą mile przyjęła, — no, bo też już z daleka pokazywałem jej pieniądze. — „Toś się jednak aby raz popisał”, pochwaliła mnie pani Majstrowa i życzliwie pogłaskała po licach. Z radości, jak nie pobiegnę do kuźni! jak nie zacznę ochoczko rąbać młotem buch! buch! na gorące żelazo, że ledwie kuźnia się nie obaliła! —

Ale musiałem wnet oprzestać, bo kuźnia zaczęła się powoli napelniać wiarą, która wracając od pana Czeszaka, gdzie to za fenygów dwadzieścia jest szklanka

groku dobrego, wstępowała po drodze odwiedzić czeladnika. — „No i cóż powiecie nowego?” — pytam się wiarusów. — „Ba, źle, mospanie, bieda, Austryjo...” — „Co tam Austryjo, odrzeknę, czy Austryak idzie na Prusaka?” — „Ale gdzie tam, patrzcie tego czeladnika, jakby to on nie wiedziol lepiej od nos, co się dzieje w świecie, skoro P r z y j a c i e l e kuje — no, wszakżeś słyszol, że na Węgrach, co to do Austryjoka noleżą, była rewolucyjo, że zastrzelili jednego studańta i jednego kuczera — kilku policyantom połomali kijami grzbiety — powybijali szyby po domach, a to wszystko dla tego, że ktoś tam podstrzelil Majstra!” — „Anu”, — powiadam — „widać, że to był Majster dobry, którego ludzie szanowali, ale więcej nie słyhać?” — „Ba nie słyhać” — odrzeknie pan Łapikura (powszechnie poważany majster szewski) — „Ul w Poznaniu zbankretowol! — miolem w nim sto talarów, a chcąc mi dać tylko dwadzieścia, zarobiem jak Zablocki na mydle!” — „Widać, że pszczołom za mało pokarmu dali na zimę, skoro pomarniały” — odrzekłem — „a matka w ulu śnać nie czytywała kalendarza naszego Majstra, boć byłaby się tam zaraz na piątej karcie doczytała: Pamiętaj przy rozchodzie żyć z przychodem w zgodzie.” — „A to, to!” — dodał na to krawiec z Poznania, bawiący tu w gościnie, którego niedawno żona uszczęśliwiła trojętami — „gdyby tak mnie byli obrali dyrektorem „Ula”, byłby przychód zawsze większy od rozchodu.” — Ja na to: — „To prawda, panie krawiec, z tej też przyczyny zdaje mi się, żeby „Ul” był miał lepsze powodzenie, gdyby się go było założyło w Tucholi lub Kowalewie, w Kcyni, w Inowrocławiu, bo spytajcie się jeno proboszczów z tych miast, a powiedzą wam, że prawie o połowę więcej tego roku mieli chrztów niż pogrzebów, a i nam tam w tym kwartale abonentów przyrosło; przychód więc nietylko był w zgodzie z rozchodem, lecz o wiele go przewyższał — a jeszcze ubiegłe lato bocianom bardzo nie sprzyjało, dla tego, że żaby w błotach powyżdychały.” — Wreszcie po długich narzekaniach na niedbalstwo zarządu „Ula” i po gruntownem zbadaniu przyczyn jego upadku, przyszliśmy do wniosku, że głównym powodem jego niepowodzenia była nieszczęśliwa nazwa „Ul” — że upaść musiał dla tego, iż pocziwych rzemieślników nie podobna przyrównywać do pszczoł lub do trzmieli. Zgodziliśmy się więc, aby na miejsce „Ula” utworzyć nową spółkę pod nazwiskiem „K u ź n i a”, której dyrektorem będzie niżej podpisany, a tegoż sekretarzem pewien znany toruński golibroda, który skwapliwie wszystkie płotki zbiera po mieście i je po wszystkich domach roznosi. Wypłacać będziemy zawsze dobrą monetą i to z procentem.

Czeladnik.

**Czeladnik, *Pogadanki w kuźni,*
„Przyjaciół”, 1880, nr 14, s. 3**

Dobrze sobie wypocząwszy przez święta, biorę się świeżymi siłami do młota! Żelazo co prawda niezmiernie podrożało, więc trzeba go ochraniać i już nie kuć tak grubych sztuk, jak to się dawniej kulo, boć by człek nie wyszedł na swoje. Za to zaczyna się praca w polu i nowe życie na całej ziemi, więc i człowiek kuje z ochotą, gdyż i w kuźni roboty jest dostatkem.

Dobrze, że ten post św. raz minął, boć to przez te siedem niedziel na perkach i żurze tak ludziska pochudli, że już ani chęci, ani siły nie mieli do pracy. Lica im wklęsły, oczy wpadły głęboko, twarz podłużała, a nos jakby się na świat wydzierał z ciekawości, taki długi, aż się na dół zwiesił, niby bandera okrętu żaglującego bez wiatru. Rzeźnicy pobankrutowali, karczmarze pozamykali szynki, grajkom porzewiały trąby, bo Wielki post to czas pokuty, to czas odmawiania sobie rozkoszy ziemskich.

Ale nareszcie zawitała palmowa niedziela, a z nią weszła do chat chrześcijańskich palma święcona, palma zaś to znak i różdżka pokoju. I otóż razem z różdżką palmową pojawiło się pismo Ojca świętego do arcybiskupa kolońskiego, zapowiadające koniec walki z kościołem. I już lżej się zrobiło katolikom na sercach i w każdym z nas zaczęła się budzić nadzieja, iż weselej przepędzi święta Wielkanocne.

Mnie co prawda, chociaż z całej siły białem młotem w kowadło, wydawało się, że huk był jakiś głuchy, podobny do głosu, jaki wydaje klekot podczas Wielkiego tygodnia. Ale przypisywałem to ubytkowi sił z powodu pokarmów postnych i wyczekiwałem tęskliwie Wielkiej soboty, w którą to ksiądz proboszcz miał przyjść pobłogosławić święconkę. Wreszcie nadszedł wieczór. Ksiądz proboszcz przyszedł z kościelnym, zdjął płaszcz i stanąwszy w komży i stule, zaczął czytać modły nad stołem zastawionym różnymi potrawami. Była tam szynka przystrojona borowiem, była pieczeń cielęca, były kielbasy, baby i placki, baranek wielkanocny z masła, pstro ufarbowane jajka, pieprz, sól, itd., a była także butelka gdańskiej, na którą, jak zauważyłem, pan kościelny pożądliwemi spoglądał oczyma, podczas gdy ksiądz proboszcz odmawiał modlitwy. Nie wiem, czy kościelny jest lubownikiem gdańskiej, ale nie dziwię się mu, bo ręczę wam, że to była wódka jak kryształ i złoto, ta sama, którą już polski poeta Mickiewicz pochwalił temi słowami: „Wódka gdańska napój miły dla Polaka” i dodał jeszcze to: „Niech żyje miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze!”

Ale był to tylko fałszywy apetyt pana kościelnego i wszystkich, którzy się może na święconkę łakomili, bo nikt z niej nic nie dostał, aż dopiero w niedzielę Wielkanocną.

Od północks z soboty na niedzielę, kiedy zabębniiono przed naszą kuźnią, nie mógłm już oka zamknąć, wstałem jeszcze przed świtem i pobudziłem drugich życząc im wesołego Alleluja. Poszło się do kościoła na rezurekcją i podziękowało za doczekanie wesołego dnia Zmartwychwstania, a potem dopiero dalej do święconki, która, możecie sobie wystawić, smakowała wybornie.

Nazajutrz już przez cały dzień mało bawilem w domu, bo wyszedłem w towarzystwie kilku przyjaciół na dyngus. Zaopatrzyliśmy się w gibkie różeczki brzożowe, zaczęliśmy niemi szturmować znane nam domy, w których za dobre wyśmiganie dziewcząt po pończoszkach, wszędzie chojnie nas częstowano święconką.

Ale czekaj! Jeszcze nie koniec dyngusu! — Przekonałem się o tem w drugie święto z rana, kiedy to nasza Marysia, w czasie gdy jeszcze słodko sobie spałem, uchyla pierzynę z mego łózka³ i nielitościwie zaczyna mnie prać po nogach!

Krzyczę, błagam, zaklinam, nic nie pomaga! — Aż wreszcie wyrwałem jej różgę z ręki. — Wtedy usłyszałem przed drzwiami jakieś śmiechy i chichoty, wyglądam przez okno i spostrzegam całą gromadę dziewcząt; były to te same, u których wczoraj byłem po dyngusie. — Nie inaczej, jeno że one naszą Marysię przekupiły, boćby mnie nie była tak nielitościwie chłostała.

Zwyczaj smagania się w drugie i trzecie święto różgami zachowują, ile mi wiadomo, tylko tu w Prusach. W Księstwie Poznańskim, gdzie łońskiego roku przepędziłem święta, oblewa się młodzież wodą. Dziewki zamykają się na klucz, aby nie puścić do siebie chłopaków dobijających się do nich z wiadrami. Chłopcy wdzierają się wtedy do izby, jak mogą, nawet przez kominy, przez sklepy i chlują dziewczętom wodę na głowy. Czasem wloką je całe drzące do studni i tam nielitościwie kapią. Ale w trzecie święto oddają dziewczęta chłopcom za swoje i oblewają i kapią ich na wzajem.

Pamiętam, że gdy raz bawilem podczas świąt Wielkanocnych w domu Państwa Chłapowskich w Turwi, tak zwały dziewczki żandarma, który w jakimś interesie przyszedł w drugie święto do palacu, że suchej nitki na nim nie było. Biedak klął coś po niemiecku, że aż się po całym dworze rozlegalo i otrząsał się z wody, jak kaczka gdy wylezie z błota; później skarżył się przed landratem, ale nic nie wskórał, gdyż pan landrat uznał słusznie, że bawiąc w polskim dworze, powinien się zastósować do polskiego zwyczaju.

Trzy lata temu przypadło mi przepędzić święta Wielkanocne w Moskwie. Tam panuje taki zwyczaj, że ludzie spotykający się w pierwsze święto na ulicy, lubo że się nie znają, lubo że czasem jeden jest bogaczem a drugi żebrakiem, witają się słowy *C h r y s t u s w o s k r e s ł* i czule się całują. Bogaci panowie zapraszają „biedniasków” do siebie i dzielą się z nimi jajkiem wielkanocnem.

³ Najprawdopodobniej: „łózka”. Niewyraźne. Powinno być: „łóżka”.

Bardzo to śliczny zwyczaj. Wszakże to Chrystus Pan dla wszystkich zmartwychwstał i piekielne mocy zwojował.

Nie weźcie mi tego za złe, że i ja dzielę się z wami jajkiem, chociaż tylko w duchu. Życzę wam przytem, abyście doczekali zmartwychwstałej Polski. Toruńskim starym kawalerom, którzy jak slysze rozwiązali już stowarzyszenie niezawierania ślubów małżeńskich, życzę, aby wszyscy w tym roku dostali piękne i cnotliwe żony. Toruńskim pannom zaś życzę, aby wszystkie przed przyszłemi świętami wielkanocnemi powychodziły za mąż. Daję słowo, że te moje życzenia się spełnią, lecz zarazem przestrzegam, że to dzisiaj *Z w o d z i a s z a*, jako w dzień 1go kwietnia.

Czeladnik.

**Czeladnik, *Pogadanki w kuźni*,
„Przyjaciół”, 1880, nr 15, s. 3**

No, o czymże dziś pogadać w kuźni? — Spodziewam się, że większa część z was życzy sobie coś wesołego, choć wiem, że są pomiędzy wami i tacy, którzyby woleli coś takiego, co to aż mrówie po skórze przechodzi, gdy się o tem słyszy.

Pamiętam jednego kulawego stelmacha, który lubił tylko słuchać, gdy mu opowiadano o zbójcach, którzy niewinnych ludzi mordowali, lub o katach, którzy z nieszczęśliwych skazańców pasy darli, bo przy tem zawsze sobie przypominał, jak to jego bolało, gdy jemu nogę ujmowali.

Dalej znalazłem jedną kobietę, której nic tak nie zajmowało, jak opowiadania o biednych sierotach, które głodem morzyła macocha i zamiast pieśczotami, częstowała różgami. Wzdychała biedaczka słuchając i płakała, a jednak była rada, gdy jej coraz więcej o nędzy tych biednych istot opowiadano.

Pewien krawiec znowu, który już niejedną sukmanę mi uszył, zachwycił się, gdy mu opowiadałem o smokach, o upiorach, o czartach kusych i niekusych, albo o takich istotach, co to pół ryby, a pół człowieka: wtedy nieraz upuścił igłę, szeroko rozdziawił usta i wlepił we mnie głęboko oczy, wydając raz poraz okrzyki podziwienia: o dla Boga! O Chryste Jezu! No patrzcież! i kiwał głową, jak makówka poruszana wiatrem, ale choć ślepy kijem mógł namacać, że to wszystko bajki, on słuchał i słuchał, bo to mu się podobało, to było wedle jego gustu.

Ja sam, gdy byłem jeszcze malcem, najmilej lubilem słuchać, gdy mi stara prządka Jagna opowiadała przy kominku bajki o zaklętych królewnach, o ślepym wilkołaku bez głowy, o starej jędzonie, która to dzieci tuczyła, aby je sobie potem

upiec, lub coś podobnego. Tak mnie to wprawdzie wszystko przestraszało, że za nic w świecie nie byłbym ani na minutę w ciemnej izbie posiedział, ale na drugi wieczór znowu prosiłem Jagny, aby opowiadała bajki, choćby jeszcze straszniejsze, jak poprzednie.

Chłop nasz mówi, że kiedy kapusta, to już musi być kwaśna, a kiedy wódka, to już ostra, bo inaczej nicpota, z podobnej przyczyny i powieści większa część ludzi lubi najmilej takie, które srodze wzruszają, bądź to do płaczu, bądź też do strachu.

My pogadamy sobie dzisiaj o rzeczach na wpół śmiesznych, na wpół strasznych.

Proroctwa i wróżby też należą do tych rzeczy, których zwykle ludzie słuchać lubią. Niechno przyjdzie do wsi cyganka, a każda dorosła panna chętnie poświęci trojaka, aby sobie dać wywróżyć przyszłość. Cyganka nie głupia, więc wróży dziewczętom tylko takie rzeczy, których one lubią słuchać, a choć i ze wszystkim nie trafi, jednak dziewczęta, gdy druga wróżka przyjdzie do wsi, znowu jej chętnie rękę do wróżby podadzą. Niejedna kupi sobie też na jarmarku za trojaka planetę i w niej szpera, jaką przyszlść⁴ przeznaczyły jej gwiazdy.

Nie dziw dziewczętom wiejskim, że są na takie rzeczy ciekawe, kiedy przepowiednie z planet i uczonych ludzi bawią. Jeden niemiecki mędrzec, zajmujący się gorliwie badaniem gwiazd, dociekl, że w r. 1880 cztery wielkie planety J o w i s z , U r a n u s , S a t u r n i N e p t u n najwięcej zbliżą się do słońca i to równocześnie. Takie równoczesne największe zbliżenie się tych planet do wspólnego ogniska przypada w bardzo dalekich odstępach czasu, a ostatni raz zdarzyło się przed 2000 laty. — Otóż ten mędrzec, nazywa on się dr. K n a p p — doszedł, że już za każdorazowym zbliżeniem się do słońca którejkolwiek z nich, nawiedziły ludzkość najsroźsze morowe choroby, jak to się działo w 6stem i 16stem stuleciu po narodzeniu Chrystusa Pana. Dr. K n a p p zapowiada nam tedy, że w czasie od r. 1880–85 nawiedzą nas rozmaite klęski, a głównie wielkie upały i zimna, posucha i ulewy, powódzie i nieurodzaj, choroby na ludzi jak i na zwierzęta.

Ale i starzy pisarze prorokowali na bieżący rok straszne nieszczęścia, zapowiadając po łacinie, że w nim „*totus mundus vae clamabit.*” Nie wielec ja tej łaciny umiem, ale zdaje mi się, żeby to znaczyło po polsku:

„Wtedy chłopy i kobiety
Krzyczeć będą gwałtu! rety!”

Inni prorokują z płam, jakie się w tym roku pojawiają na słońcu, że będzie bardzo urodzajny. — Komuż teraz wierzyć?

⁴ Powinno być: „przyszłość”. Błąd drukarski.

Ciekawsze jeszcze jest proroctwo pewnego Francuza, który nawet koniec świata na bieżący rok zapowiada: Mówi on:

„Niechaj każdy człek to wierzy:
 „Na rok, w którym święty J e r z y
 „Pana na krzyżu powiesi,
 „A M a r e k go z grobu wskrzesi,
 „Zasię J a n w sercu poloży —
 „Prorok koniec światu wroży.”

Powyższy wiersz ma niby znaczyć, że koniec świata nastąpi w tym roku, w którym Wielki piątek przypadnie na dzień św. J e r z e g o , Wielkanoc na dzień św. M a r k a , a Boże Ciało na dzień św. J a n a . Wedle tegorocznego kalendarza rzeczywiście przypadają owe 3 uroczystości na dni odnośnych 3 świętych, lecz z tego nie wynika jeszcze, aby już w tym roku miał być koniec świata, boć jeszcze Antychrysta nie widać; w każdym jednak razie najlepiej to zaufać Bogu, robić swoje i nie bać się takich przepowiedni.

To też możecie sobie jeszcze bezpiecznie zapisać *Przyjaciela* na cały rok 1880 z góry, a ręczę wam, że jeszcze wszystkie numera z tego kwartału i z dwóch przyszłych przeczytacie przed końcem świata.

Czeladnik.

Czeladnik, *Pogadanki w kuźni*, „Przyjaciel”, 1880, nr 16, s. 2-3

U naszych sąsiadów Walkowiaków wczoraj rychlej wstali, niż zwykle. Jeszcze przed piątą widziałem najstarszego syna Maćka spacerującego sobie przed domem w niedzielnej sukmanie, świecących butach, z długim cygarem w gębie. Najmłodszego syna Walkowiaków, sześciolatniego Ignasia, też widziałem od samego rana kręcącego się po podwórzu w nowej rogatywce i nowych bucikach.

Nie mógłem sobie wytłumaczyć, dla czego się tak wystroili. Medytuję i medytuję, ale nic się nie stósuje; święta przecież dzisiaj nie ma, imienniny też u nich być nie mogą, boć staremu na imię Jakób, a jej Anka, a św. Jakóba będzie dopiero wśród lata, kiedy to już będzie można mówić: „chleba nie kup”, zaś św. Anki na początku jesieni, kiedy to nastają zimne poranki. A wszak teraz dopiero wiosna się rozwija i ledwie co pierwsze bociany przyleciały. Kiedy tak potraćilem o bociany, przyszło mi na myśl, czyby też czasem bocian Walkowiakom co nie przy-

niósł i czyby czasem chrzcin nie mieli, bo rzeczywiście we wtorek widziałem jednego krążącego nad ich domem i zdawało mi się, że coś trzyma w dziobie⁵

Tak sobie medytując, przystąpiłem do ogniska i zacząłem przysuwać węgle do ognia, gdy w tem mocno mnie coś szarpnie z tyłu za szorcfał. Oglądam się i spostrzegam małego Ignasia, chowającego za plecy rękę, którą dopiero pociągnął był za cypel szorcfała. Stał z niewinną minką przy kowadlu i figlarnie patrzył na mnie dwoma oczkami.

— A, toś ty, ptaszku? — zawołałem. — No, gdzie też to napisać, że dzisiaj tak szybko wstałeś?

— A, bom dziś nie mógł dospać. — odpowiedział malec i nieśmiało spuścił oczy — ale z rumieniących się jego policzków poznałem, że ma coś na sercu.

— Co ci to dzisiaj? — odezwałem się wtedy. — Czy się boisz czeladnika? — Zabaw się tam na chwilkę obracaniem koła, a ja ci tymczasem zrobię stalowy zydek, który potem obaj wyostrzemy. — Ale chłopiec jak stoi tak stoi i coraz czerwiesze piecze rączki, jeno czasem filuternie z ukosa na mnie spogląda. Nareszcie po długim milczeniu odzywa się: — „No, nie widzisz?

— Co takiego? — pytam.

— Ady, nowej mojej sukmany nie widzisz?

Teraz dopiero pomiarkowałem o co chodzi... Przystępuję do chłopca, zbliżam oczy do jego szarej sukmany i biorę w palce faldzik rękawa, aby się przekonać o wartości sukna i chwale: — A jaka ładna sukmana! Patrzenie no! Jeszcze takiej nie widziałem! A jak mu zgrabnie leży, a sukno jakie grube! — W tem chłopiec głośno krzyknął i wydarł mi się z ręki, boć — rozumiecie — mocno go uszczypnąłem w ramię.

Wyrwał się chłopiec, ale obleciawszy raz do koła kowadla, już z czystym sumieniem zbliżył się do mnie i zaczął mi opowiadać na ucho, że tę sukmanę kupiła mu matka w mieście za tego laciatego wieprzka, co go to za osiem talarów na targu sprzedała, że mu ojciec kupił nowuteńki elementarz z pięknymi obrazkami, dużą czarną tablicę i ślicznie pomalowany rysik, że dziś ma iść pierwszy raz do szkoły, lecz że ma wielki strach, bo słyszał, iż będzie musiał różgę pocałować.

— A Maciek to pewnie ciebie do szkoły poprowadzi — przerwałem mu — boć się też dzisiaj w odświętne rzeczy ubrał?

On na to: — Ale, gdzież, ja sam trafię, Maciek, to widzisz, pójdzie dzisiaj do miary. — Chciał mi jeszcze coś więcej opowiadać, ale w tem odezwało się z naprzeciwka głośne wołanie dziewczki Basi: Igna-ś! Ignaś! na śniadanie, żywo! Chłopiec jednym susem był za progiem i drapnął jak zajac.

Zaledwie że nie obalił starego gospodarza Drążka, ustawiającego co dopiero przy drzwiach plug, który przyniósł, abym mu lemiesz nastalił.

⁵ Powinna być kropka. Błąd drukarski.

— Jakie też to chwatkie! — rzekł taczając się Drażek — to rychtyk, jak skra, — tak tak, siała baba mak, u nas starych już nie tak, — póki byliśmy młodzi, tośmy też przyskali, ale dziś się nam już nie chce, a też i nie możemy.

Drażek znać usłyszał ostatnie słowa Ignasia, że brat jego musi stanąć do miary, bo zaczął zaraz długie kazanie o żołnierce:

I mój dzisiaj musi iść pod miarę — rzekł gospodarz — a pewnie żołnierki nie ujdzie, bo chłop jak dąb, a zdrów jak kamień. — Pod rządem niemieckim każdy mężczyzna, jeśli nie jest kaleką, od kolebki do grobu jest żołnierzem. Już w szkole uczą go eksecerować się i śpiewać „Die Wacht am Rhein”, a w uroczystości sedańskie odbywać paradne marsze. W dwudziestym roku życia idzie pod miarę, a potem albo zaraz zapną na nim mundur żołnierski, albo zapiszą go sobie przynajmniej do książki, aby go powołać później pod broń lub przyłączyć do tej rezerwy 1 klasy, w której teraz i podczas pokoju uczyć będą mustry. Trzy lata służy w linii, 9 w rezerwie i landwerze⁶, 10 w landszturmie⁷, co chwila powoływano to do feldwebla⁸, to do kontroli, to na kilkatygodniowe ćwiczenia. Po roku 42gim biorą go w opiekę landwehr- i kriegervereiny⁹ i nie opuszczają aż do grobowej deski, jeszcze przy grobie trąbią mu wojskową pobudkę, jak to zrobili śp. temu, co to P r z y j a c i e l e¹⁰ roznosił.

— Oj, prawda komotrze—dodał furman Szkapkowiak wchodzący do kuźni ze zgiętą osią, i ja służyłem długo w wojsku, odbyłem 3 wojny, a teraz mnie za to na każdą niepogodę we wszystkich stawach rwie, że mi gnaty trzeszcza. Wojaczka nie tylko że nadrywa zdrowie, ale kosztuje pieniądze, powtóre pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Wczoraj dopiero przysłali mi wezwanie z policyi, abym zapłacił klasowe, aż się w głowę podrapałem, gdy spostrzegłem, że mnie tego roku o jedną klasę podwyższyli. — Jeno płacić, a płacić, a zkad to się wszystko weźmie? — Dotąd to się jeszcze czasem w niedzielę poszło do pana Czechaka na Chelmińskiej ulicy na kufel piwa, ale teraz nie wiem, zkad się grosz na to weźmie!

— Bagatela — rzekłem — na jeden kufel piwa dla pokrzepienia zdrowia to jeszcze zawsze będzie, a piwo u pana Czechaka tanie i dobre. — Ale powiem ja wam coś innego! Czyście nie słyszeli, że książę Bismark chce włożyć monopol na tabakę?

— Nie, no gadaj!

Owóż powiadam wam, że zawczasu trzeba przyzwyczaić nosy do postu, bo za parę miesięcy już tak tabaka podrożeje, że nie każdy będzie ją mógł zażywać.

⁶ Z niem. „Landwehr” (rezerwa).

⁷ Z niem. „Landstrum” (rezerwa).

⁸ Z niem. „Feldwebel” (sierżant).

⁹ Z niem. „Landwehr” (rezerwa); „Krieger” (wojownik; weteran); „Verein” (organizacja; stowarzyszenie; klub).

¹⁰ Powinno być: „P r z y j a c i e l a”. Błąd drukarski.

— Drażek i Szkapkowiak bardzo się na to obruszyli, a pierwszy aż się z przerażenia pomacał po kieszeni, czy mu jeszcze nie wzięli tabakiery.

Gdy tak sobie prowadziliśmy pogadankę, wchodzi do kuźni *Majster* i wita komotrów czulem „Witajcież mi, wiara!” — Bóg zapłać, panie *Majstrze*, — i dalej gadu gadu z *Majstrem*, a ja natychmiast począłem grzać żelazo, robiąc minę, jak gdybym dotąd był jaknajpilniej pracował.

Czeladnik.

Czeladnik, Pogadanki w kuźni, „Przyjaciół”, 1881, nr 19, s. 2-3

Rozpaczam na nowo dawno przerwane pogadanki, lecz nie wiem, czy uda mi się ukuć teraz coś porządnego, bo to człek ma wiele kłopotów na głowie, a jeszcze pracować musi aż da¹¹ dwóch kuźni, dla dworskiej i gospodarskiej, więc ledwie wydaży. A tu nadto ta cała robota tak mało przynosi, że nawet nie starczy na sprawienie sobie nowego szorcfała, gdy zaś człowiek w niedzielę oplócze sobie okopcone cielsko i chciałby po kościele trochę sobie, jak to mówią — pozwolić, to braknie tego, co najpotrzebniejsze, i siedź sobie w domu, kochany *czeladniku*, weź koronkę i mów pacierz za piecem. Ale przecież coś ma *czeladnik* za swoją pracę: najprzód wewnętrzne zadowolenie, że pracuje w kuźni polskiej, dla drogich wiarusów, dla kochanej Ojczyzny, a dalej pociechę, że *Majstrowi* przybywa coraz więcej odbiorców.

Dzisiaj nawet braknie mi żelaza, będę więc musiał ogromnie sztukować. Jeszcze do tego najlżejsze młotki zabrali do drugiej kuźni, a tym ciężkim to czasem niebezpieczna walić, bo tu obok nas o ścianę mieszka pewien pan, który strasznie nie cierpi huku i zaraz za każdym ostrem buchnięciem przegraża się, że będzie skarżył; a trzeba wiedzieć, że ten pan ma wielki walor w sądzie, więc nie warto go drażnić. Ale czasem przyjdzie do kuźni jaki wiarus, który chce, żeby mu ukuć sztukę na poczekaniu, więc sam zaczyna pomagać i walić dużym młotem z całej siły, od ucha, zanim go się przestraszysz zdola. Tak to pomógł *Majstrowi* pewien szlachcic z pod Tucholi, który tak silnie buchnął w kowadło, że owemu sąsiadowi dwa lata w uszach dzwoniło, a *Majstra* teraz za to wpakowali na pół roku do kozy. I mnie w naszej drugiej kuźni też tak dopomogli, że zapewne, gdy

¹¹ Powinno być: „dla”. Błąd drukarski.

wypuszczą Majstra, zaproszą czeladnika tam, dokąd łatwo się dostać, lecz zką wyjść ciężko.

Tak, jest się o co kłopotać, komotrze, jest się na co skarżyć. Ale komuż w tych ciężkich czasach idzie, jakby sobie tego życzył? Skarzy się sam B i s m a r k , że za wysoki podatek płacić musi od komornego, narzeka car, że mu nihiliści spokojnie spać nie dadzą, pan Kaźmirz z Torunia, że mu już trzecia panna dała kosza, aptekarz z Górzna, że stracił doktora a drugi nie chce się znaleźć, kopacz z Kcyni, że ludzie nie umierają, żali się ksiądz proboszcz z Kazanic, że krewność wyciąga z niego ostatnie talary, rządca z Gnojna, że nie może dostać ludzi do buraków.

Lamentuje także pewien golibroda z Poznania, że wskutek modnego gustu pewnej damy stracił 12 talarów dochodu rocznie. Sumę tę płacił mu jakiś kupiec, gdy jeszcze był kawalerem, ale ledwie się ożenił, natychmiast zapuścił brodę, żonka bowiem poczęła mu robić wyrzuty, że się daje golić. „Ja lubię męża z zarostem — rzekła — patrz! z takimi bakobrodami po jednej i drugiej stronie¹² twarzy, jak to ma ów śliczny mężczyzna” — a przechodził przed oknem właśnie pan adwokat, kawaler, spiesząc w zaloty do posażnej panny. Nie dziwić się panu adwokatowi, że szuka sobie połowicy z posagiem, bo tylko takie panny są teraz modne w oczach kawalerów. Weźmiesz mądrą żonę — myśli pan adwokat — może ogłupieć, cnotliwa może się popsuć, piękna może się zestarzeć, ale bogata, choć ogłupieje lub się zestarzeje, zostawi pieniądze. Prawda, że i te można stracić, ależ na to właśnie są.

Rozsądnie myśli i dowodzi pan adwokat a ojciec panny będzie szczęśliwy, gdy go dostanie za zięcia, bo chleb adwokacki to teraz najlepszy. Procesa nigdy nie ustaną; dopóki ludzie będą mieli w gębie języki, nie ustaną oszczerstwa i obrazy, dopóki jeden będzie posiadał więcej niż drugi — co przecież nie da się ułożyć inaczej — nie znikną krzywdy, kradzieże, oszustwa i przewierstwa, a z tego się lęga procesa, z których żyją adwokaci i mają się z tem dobrze. Adwokaci dopiero wtedy zaczną bankrutować, gdy ludzie będą się rodzili ze skrzydłami aniołów, gdy królowie będą wydawali swe córki za chłopów, gdy ze złota i srebra będą kuli kowale pługi i motyki, gdy zające tańczyć będą z psami, lisy gęsiom trawę przynosić, kot mleko pić będzie z jednej miski z myszą — a pieczone gołąbki same ci przylatywać będą do gąbki, komotrze. Ale tego my dwaj już nie doczekamy.

Prawda, jeżeli czasem spojrzę w jaką świeżo wydaną książkę pana Chociszewskiego i prawie w każdej spostrzegam zajączka, który do tyła wyzul się z tchórzostwa, że ze szablą przy boku śmiało bębni na pobudkę, to zacznym wierzyć, że i natura ludzka z czasem da się zupełnie przeistoczyć.

Albo i to. Któżby był przed laty myślał, że pchłę można tak ulaskawić, iż na komendę pokazywać będzie rozmaite sztuki? A jednak znalazł się człowiek, który

¹² Powinno być: „stronie”. Błąd drukarski.

tego dokazał. Włoch nazwiskiem *O b i c i n i* tak pchły wymustrował, że chodziły równie dobrze w zaprzęgu, jak podwierzchkiem, pchały przed sobą taczki, grały w karty, rąbały się na szable, a nawet tańcowały walca. Karmil je codziennie na własnym ramieniu, z którego mu ssaly potrzebny dla siebie pokarm. Sławny ten człowiek umarł niedawno temu w Paryżu tknięty paralizem, a z nim i sztuka tresowania pcheł poszła do grobu. Ci, którzy go w tem naśladowali, nie doprowadzili, ani nie doprowadzą w tej sztuce tak daleko, jak nieboszczyk Cialdini. Gdy pchły, dzięki drażliwości i przebiegłości naszej płci nadobnej i perskiemu proskowi, z czasem zupełnie wyginą, będą je ludzie znali tylko z bajek, jak teraz smoki i dziwolągi.

Muszę przestać, bo bym wam zmajstrował śrubę bez końca, jak nie przymierzając pamiętniki pana kapitana z Chwaliszewa.

Czeladnik.

**[H. Derdowski], *Majster Ignacy Danielewski,*
„Przyjaciół”, 1881, nr 14, s. 1**

Majster Ignacy Danielewski udał się 5 kwietnia do tutejszego więzienia, aby odcierpieć karę 6-miesięczną za dwa artykuły ogłoszone w *Gazecie Toruńskiej*, której jest także redaktorem. Chodziło w nich o język polski w szkołach i podział okręgów wyborczych.

Proście Pana Boga, kochane wiarusy, aby Majstrowi jaknajmniej przykremlić uczynił dni niedoli i abyśmy go po odcierpieniu kary znowu ujrzeli zdrowego i po dawnemu ochoczego do pracy pomiędzy nami.

Przyjaciół będzie wychodził regularnie jak dotąd, a będzie go redagował ów *Czeladnik*, który wam pisywał dawniej *Pogodanki w kuźni*, a o którym nie jeden z was potem życzliwie *Majstra* zapytywał. *Czeladnik* dziękuje za okazywaną mu dotąd życzliwość i prosi was, kochane wiarusy, abyście go wspierali w narodowej pracy nadsyłaniem korespondencji, które chętnie będzie umieszczał, a zarazem starali się o jaknajszersze rozpowszechnianie **Przyjaciół** w gronie bliższych i dalszych komotrów. Dopiero by się *Majster* ucieszył, gdyby po sześciu miesiącach ujrzal powiększoną liczbę lubych abonentów! Trzeba także zważyć, że w bieżącym roku upłynie 25 lat pracy dziennikarskiej *Majstra*, którą rozpoczął w Chełmnie, gdzie wydawał najprzód *Nadwiślania*, a potem *Przyjaciół Ludu*, dla tego też w tym roku tem więcej trzeba pamiętać o *Majstrze* i jego gazecie.

Dzisiaj wam *Czelaźnik* nie ukuje nic wesołego, bo pisze pod wrażeniem wielkiego smutku, jaki mu sprawił ciężki los *Majstra* i niespodziane rozstanie się z ukochanym nauczycielem. Ale przyrzeka wam, że będzie czynił, co w jego siłach, aby zadowolić drogich czytelników.

**[H. Derdowski], *Co słyhać?*,
„Przyjaciół”, 1881, nr 15, s. 1-2**

Pamiętam, jak to w *Koziej Wólce* za drugiego dziedzica*) chłopci szemrali na pana, że pijany od rana do wieczora, bije ich przy robocie, nie wypłaca regularnie, co im się należy, a tak głupio gospodarzy, że z majątku nie ma żadnego zysku i brnie w długi coraz więcej a więcej. Spodziewali się ludziska, że przynajmniej pod synem będą mieli lepiej, bo i ten wiele cierpiał od ojca i nieraz się litował nad ich dolą. To też paniczka wszyscy nosili prawie na rękę, każdy mu nadskakiwał, jak mógł, a on nawzajem starał się każdemu podobać. Stary wreszcie nagle zeszedł z tego świata, a *Kozią Wólkę* objął po ojcu młody dziedzic.

Ludzie zaczęli wolniej oddychać, pracować ochoczo i pilnie, jak dla siebie, a przy tem oglądali się na młodego, jak też teraz będzie gospodarzył. Ten z początku mało się w podwórzu i na polu pokazywał, bo miał kłopot o uporanie się z długami, które zostały po ojcu. Zaczęły zaglądać do dworu jakieś kuse faktory, a przybył też raz syn niemieckiego sąsiada, który mieszkał o miedzę. Niemcy mu nagadali, że ojciec jego był wzorem dla wszystkich gospodarzy w całej okolicy, a jeżeli się zadłużył, to tylko dla tego, że chłopci ładaco.

Po owych niemieckich wizytach przewróciło się młodemu od razu w głowie. Zaczął jeszcze bardziej ludziom nad głowami kijem wywijać niż nieboszczyk, rozbiegiwać się jak dziki po podwórzu, skakać od jednej gromady robotników do drugiej, i co chwila zmieniał wydane rozkazy. Przy tem wołał: „Ja teraz pan, pokażę wam, że umiem lepiej gospodarzyć niż ojciec!” Dla nabrania więcej ducha do tej dzikiej gospodarki, zaczął wnet i popijać jak stary, a chłopów krzywdził, gdzie mógł. Otworzyły się chłopom oczy, powiedzieli sobie: „Jaka praca, taka płaca”, i zaczęli się jak dawniej przy robocie oględywać, a spieszyli się tylko wtedy, gdy pan był przy nich. Rządca i ekonom też ich bardzo do roboty nie pędzili, bo mieli głowę zajęta kłopotami o wyszukanie innej posady, gdyż dziedzic prawie co miesiąc urzędników gospodarczych zmieniał. I jakżeż się skończyła owa dzika

*) Historią pierwszego pana na *Koziej Wólce* opowiedziałem wam w *Pogadankach* w *kuźni*.

gospodarka? Oto tak, jak było można przewidzieć. Już po dwóch latach wyszedł młody pan pieszo z majątku i teraz siedzi gdzieś u krewnych na łaskawym chlebie. Większą część gruntów Koziej Wólki zabrali żydzi i rozparcelowali, a najlepsza dostała się owemu sąsiadowi Niemcowi.

Podobnie jak z owym młodym dziedzicem dzieje się z nowym carem rosyjskim Aleksandrem III. Póki był następcą tronu, był ulubieńcem narodu i nadzieją lepszej postępowej przyszłości. Ledwie wstąpił na tron, uległ wpływowi niemieckiemu i już nie chce słuchać o polepszeniu doli swych poddanych, a na pisma, które się odzywają o swobodę dla ludu, każde nakładać kary. Ale też kto wie, czy wnet tak z tronu nie wyjedzie, jak wyjechał z majątku dziedzic Koziej Wólki.

Głównie myśli on teraz o tem, jakby się zemścić na nihilistach i jakby podszcucu na nich wszystkie kraje europejskie, tak iżby nigdzie nie znaleźli schronienia. Pomaga mu w tem książę Bismarck, który podobno już tak dalece rzeczy doprowadził, że car Aleksander III. przyjedzie po świętach lub na jesień do Berlina i Wiednia, aby odnowić z cesarzem niemieckim i austryackim święte przymierze. Wątpię, przecież, by do tego przyszło. Nowy car, który się boi jechać na koronację do Moskwy, aby go jaka sztuczka nihilistowska nie wysadziła w powietrze, dobrze się jeszcze namyśli, zanim puści się w daleką podróż do środkowej Europy.

W Petersburgu, jak powiedział jeden Niemiec, który był tam podczas wizyty niemieckiego następcy tronu, tak teraz wszędzie pachnie prochem i dynamitem, jak w żydowskiej kuchni cebulą. To też car przeniósł się już ze stolicy na wieś do pobliskiego zamku lowczego. Nie ufał już swym własnym lokajom w pałacu Anzykowskim, a nawet swego stryjecznego brata Mikołaja Konstantynowicza posądzal o związki z nihilistami i kazał mu się wynieść z kraju.

Obok wiadomości z Petersburga bardzo teraz niepokoją Europę zatargi zbrojne między Francuzami a Tunetańczykami. Te rozpoczęły się od bardzo prostackiej przyczyny, bo od kradzieży koni. W państwie tunetańskim mieszka nad granicą posiadłości francuskich rozbójniczy szczepek Krumisów, z którymi sobie bej czyli książę tunetański nie może dać rady. Ci Krumisowie raz po raz wpadają w francuską ziemię algierską i rabują ztamtąd bydło. Zeszłego roku zabrali mieszkańcom w jednym okręgu tylko 1,800 wołów, 80 koni i mułów i zrobili szkody przez podpalenie na jakie 115,000 franków. Niedawno znowu napadli posiadłości francuskie, przy czem natrafili na oddział wojska francuskiego, z którym rozpoczęli krwawą potyczkę.

Tego już było za wiele Francuzom, więc postanowili ukarać rozbójników, nie pytając się beja tunetańskiego, czy się na to godzi, czy nie. Wysłali więc z Europy parę okrętów na wybrzeża afrykańskie i zmobilizowali do 20 tysięcy wojska, które miały już wczoraj odpłynąć do Algierii. — Izba francuska pozwoliła rządowi pożyczyć przeszło 5 1/2 miliona franków na wyprawę przeciw rozbójnikom. Przy tej sposobności okazał się przecież wielki nieład w zarządzie armii francuskiej, podobnie jak w roku 1870. Pułki artylerji, które nie były ani uzbrojone, ani opa-

trzone w konie, otrzymały nakaz pochodu; wojsko, które miało wsiadać na okręty, nie mogło ani ruszyć się, gdyż brakowało mu zapasów żywności. Wskutek tego bardzo się oburzają Francuzi na ministra wojny F a r r e g o .

Bej tunetański, skoro się dowiedział o zbrojeniach Francji, zaprotestował przeciwko wkroczeniu wojsk francuskich w granice jego państwa. Ofiarował wynagrodzenie szkody wyrządzonej Francuzom przez Krumisów i powiedział, że sam zdoła ich uskromić i ukarać. Wreszcie groził wmięszaniem się w sprawę Turcji, której jest hołdownikiem. Francja przecież nie ufa jego słowom, bo wie dobrze, że Krumisowie jego nie usłuchają. Anglia i Włochy starają się pogodzić pokłóconych, ale pośredniczenie tych dwóch mocarstw pewnie nie odniesie żadnego skutku, bo Francuzi już zanadto rozjątrzeni; wiedzą, że łatwą będą mieli sprawę z bejem, który wcale nie jest przygotowany do wojny. Skoro przecież Turcja się ujmie za nim, jako hołdującym sobie księciem, może się powtórzyć kubek w kubek ta sama historia, jak ów spór grecko-turecki, bo zaraz wmięszalaby się w sprawę cała Europa, a księżę Bismark na przodzie, który podobno już teraz zaciera sobie ręce z radości, że Francja będzie miała wojnę.

O Grecją mocarstwa europejskie już przestają się troszczyć. Utargowały od Turka tyle, co było można, i teraz mówią Grecji: weź, co ci daje, bo inaczej dalej wspierać cię nie będziemy. Grecja jakoś się jeszcze namyśla, a nawet odgraża się, że teraz pójdzie bez obcej pomocy z Turkiem na pojedynek, ale to tylko strachy na wróble, bo Grecja wobec Turka, to tak, jak mały kundel na brytana. Pewnie zadowolili się wreszcie temi krajami, które jej Turek chce odstąpić, bo trudno by jej było o własnej mocy zdobyć kołacz, którego łaknie, a mogłaby i chleb stracić, który posiada.